

Kartki z dziejów bychawskiej oświaty

Zapomniana reduta polskości w czasie okupacji czyli Szkoła Spółdzielcza w Bychawie 1941/42 (cz. 2)

Rola „Społem” w organizowaniu szkół spółdzielczych w czasie okupacji

(opracowano w oparciu o tekst Zofii Olszakowskiej-Glazerowej)

Związek Spółdzielni Spożywców „Społem” rozwijał się dynamicznie już przed II wojną światową. W 1928 r. zrzeszał prawie 2 tysiące spółdzielni w całym kraju. Centrala miała swoje wojewódzkie oddziały, a te w terenie pracowników i działaczy spółdzielczych wywodzących się spośród wiejskiej inteligencji – nauczycieli i młodzieży – z „Wici”, „Siewu” oraz Kół Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej i części bardziej świadomego chłopstwa. Poparcie rolników dla ruchu spółdzielczego wzrastało wraz z widocznymi korzyściami wynikającymi z istnienia różnego typu spółdzielni – spożywczych, mleczarskich, zaopatrzenia i zbytu oraz kas pożyczkowych, które swoje wypracowane nadwyżki przeznaczały na rozwój oświaty i kultury w środowisku wiejskim.

Wybuch wojny i kilkuletni okres okupacji nie zahamował działalności „Społem”, choć poddał ją pod kontrolę niemieckiego trenhüdera. Oficjalna działalność „Społem” miała polegać na apro wizacji ludności Generalnej Guberni w różne artykuły pierwszej potrzeby, w uzgodnieniu z okupantem. Inna, maskowana przez tę jawną, przejawiała się w skrytym udzieleniu pomocy polskim rodzinom dotkniętym represjami, w późniejszym okresie także oddziało- m partyzanckim. Dzięki sieci sklepów i spółdzielni w terenie istniała możliwość różnorodnej pomocy – czy to działaczom konspiracyjnym czy „spalonym”, poszukiwanym przez gestapo. Zaopatrywanie ich w fałszywe dokumenty i zaświadczenia o zatrudnieniu w spółdzielczości, uratowało wielu od więzień czy nawet śmierci. Siedziby spółdzielni współpracowały z członkami AK i BCH, ułatwiając kontakty czy czasowo ukrywając podejrzanych.

Bezsporną zasługą „Społem” dla utrzymania ciągłości polskiej oświaty, zwłaszcza po likwidacji szkół ogólnokształcących przez okupanta było podjęcie się organizacji szkół handlowych z klasami spółdzielczymi oraz jednorocznych SZKÓŁ PRZYSPOSOBIENIA SPÓŁDZIELCZEGO dla dorosłych, z myślą o kształceniu przyszłych pracowników wiejskich spółdzielni i różnych form spółdzielczości.

Na koniec roku szkolnego 1943/44 w Lubelskiem było:

- 5 Szkół Przysposobienia Spółdzielczego
- 18 Handlowych Gimnazjów z klasami spółdzielczymi
- 17 Handlowych Liceów z takimi klasami.

Ogólnie w tym okresie istniały 2 zakonspirowane szkoły wyższe oraz liceum prof. Lipińskiego – tajna Szkoła Główna Handlowa.

O szkole spółdzielczej po latach

Oddajmy głos absolwentowi szkoły. Wspomina Mieczysław Kuna:

Różnorodne przejawy działalności szkoły skumulowały się i nabrały blasku właśnie w bychawskim okresie jej istnienia. Bychawa może się poszczycić, że jedną z kartek jej historii zapisała w roku szkolnym 1941/42 jednoroczna Szkoła Przysposobienia Spółdzielczego, przeniesiona tu z Zakrzówka. O wiele lepsze warunki lokale w porównaniu z poprzednią siedzibą, dzięki życzliwości kierownictwa szkoły powszechnej i władz samorządowych, sprawiły, że naukę mogło tu podjąć więcej chętnych. Zgłosiło się 120 osób, zróżnicowanych wiekowo, zaszła więc potrzeba utworzenia trzech klas, podczas gdy gdzie indziej były dwie lub tylko jedna.

Wśród tej uczniowskiej społeczności wyróżniała się spora grupa osób zdolnych i nieprzeciętnych, zarówno bychawiaków, jak i przybyłych z różnych odległych stron Lubelszczyzny i województw ościennych, kipiących energią i pomysłowością, co wytwarzało twórczą atmosferę i pozytywnie inspirowało. Animatorami życia kulturalno-oświatowego w Szkole stały się zwłaszcza absolwentki znanego i głośnego Uniwersytetu Ludowego małżeństwa Ignacego i Zofii Solarzów, działaczy ludowych i kulturalnych w Gaci Przeworskiej.

Bliskość Lublina umożliwiła częste wizyty w szkole znamienitych gości, wśród nich Ireny Kosmowskiej, Władysława Cholewy, delegata rządu londyńskiego na woj. lubelskie, Jana Pasiaka – „Jawora”, komendanta BCH obwodu Puławy, potem Okręgu Lublin (bliższe informacje o niektórych, jak i nauczycielach zamieścimy w kolejnych częściach publikacji).

Szkoła miała też szczęście do doborowej kadry pedagogicznej w osobach: kierownika Pawła Edwarda Chadaję, Hanny Chorążynę, Zofii Olszakowskiej, Mieczysława Kotera, Aurelii Duszyńskiej, Anny Gadzałanki, Edwarda Żelazki. Wszyscy oni, znani wcześniej z działalności społecznej i spółdzielczej, tworzyli harmonijny zespół, umiejący wszczepić w nas, uczniów, ideały humanistyczne i spółdzielcze, wyrażone w słowach hymnu:

Rok szkolny 1941/42 Szkoła Spółdzielcza w Bychawie.



Bychawa, 1942. Paweł Chadaj – wystąpienie na zakończenie roku szkolnego.

Oto staję nas wolnych gromada /budowniczych tworzących swój świat /w którym złoty cielec już nie włada /a nowego w nim życia tkwi ład.

Oto co skłoniło Mieczysława Kunę, wówczas mieszkańca Bychawy, do wstąpienia do szkoły:

„Kiedy dowiedziałem się, że w Bychawie jesienią 1941 roku ma być zorganizowana jednoroczna Szkoła Spółdzielcza dla Dorosłych, początkowo potraktowałem tę wiadomość bez specjalnego zaciekawienia. Ot, powstaje jakaś szkoła o wybitnie specjalistycznym handlowym charakterze, a ja przecież (tak mi się przynajmniej wówczas wydawało) powinienem głównie skoncentrować się na dziedzinie humanistycznej (literatura, historia, języki obce), jako że w tym kierunku przejawiałem rzeczywiste zainteresowania. Cóż więc – myślałem sobie – obchodzić mnie może szkoła, która prócz przekazania swoim uczniom merkantylnych wiadomości, nic więcej dać im nie jest w stanie, zwłaszcza, iż działo się to w czasie okupacji hitlerowskiej.

Jeśli więc znalazłem się na liście uczniów tej Szkoły, to nie dlatego, iż odczułem nagłe „powołanie spółdzielcze” lecz po prostu stało się to z kilku bardziej prozaicznych względów. Uczęszczanie do szkoły przynajmniej na jakiś czas odsuwało ode mnie groźbę wywozu do Niemiec na roboty i dawało perspektywę znalezienia później jakiegoś zajęcia do końca wojny w biurach lub sklepach spółdzielczych, co nie było dla mnie bez znaczenia, zważywszy, iż rodzice byli w ciężkiej sytuacji materialnej. Doszedłem poza tym do wniosku, że jeśli wojna przerwała mi uczęszczanie do gimnazjum, do którego z taką trudnością się dostałem, to w tej szkole zakosztuję chociaż jakiejś namiastki systematycznej nauki, w myśl porzekadła „Na bezrybiu i rak ryba”.

Stałem się więc słuchaczem szkoły, która od samego początku zadziwiła mnie i – co tu dużo mówić – urzekła niezwykłą dla mnie atmosferą, zupełnie odbiegającą od znanych mi gimnazjalnych stereotypów. Bo w istocie niezwykła to była szkoła. Gdy wspominam te czasy przez pryzmat minionych lat, nie mogę oprzeć się prawdziwemu wzruszeniu, ponieważ szkoła ta w zasadniczy sposób zaważyła na ukształtowaniu mej postawy światopoglądowej”.

Myślę, że przysłużyć się historii w ogóle, a Szkoły w szczególności, gdy przypomnę nazwiska 17 bychawiaków, którzy zgłosili swój akces do szkoły w roku szkolnym 1941/42. Są to następujące osoby, według rodowych nazwisk: Romana

Dokończenie na str. 2

Ulice, domy, ludzie

Zamieszczamy trzeci fragment wspomnień Tadeusza Grudnia, bychawianina z urodzenia, wieloletniego pracownika bankowego, głównie w Warszawie.

Małżeństwo

Przez szereg lat byłem członkiem Akademickiego Koła Polskiej Macierzy Szkolnej. Była to żywa organizacja studencka o nastawieniu narodowym, w której wiele zyskałem w zakresie wyrobienia społecznego, umiejętności dyskusowania i świadomości politycznej. W tym Kole kwitło też bogate życie towarzyskie młodzieży studenckiej stolicy, dzięki czemu poznałem wiele osób. W tym gronie Hannę Oyrzanowską, z którą ożeniłem się w 1938 roku. Odtąd całkowicie zmienił się tryb mojego życia. Przez to małżeństwo wszedłem do bardzo rozgałęzionej rodziny Oyrzanowskich, Tyców, Bruskich, Balarych, Wojlanisów. Był to klan wywodzący się z dawnych ziemian, zachowujący ich tradycje. Oboje rodzice mojej żony zmarli na raka. Mój teść w ostatnim etapie swojej pracy zawodowej był likwidatorem małej cukrowni, przeszedł na emeryturę z pokaźną odprawą i zamieszkał w Warszawie w reprezentacyjnym mieszkaniu w najwytworniejszej dzielnicy miasta. Po jego śmierci odziedziczyliśmy wielką sumę na rachunku w Banku Cukrownictwa, niestety, przepadła wskutek wojny.

Wprowadziliśmy się po pogrzebie do innego mieszkania w innej dzielnicy Warszawy Saska Kępa, stać nas było na piękne trzypokojowe mieszkanie. Razem z nami zamieszkała kilkuletnia wówczas Agnieszka Piwnicka, córeczka zmarłej niedawno przyrodniej siostry Hani. Hania i ja podjęliśmy się jej wychowania. Ojciec jej, Piwnicki, został w Modelu, gdzie po likwidacji cukrowni, w której był zatrudniony, kupił małe gospodarstwo. Moja żona czuła się w obowiązku zapewnić siostrzenicy lepsze wykształcenie i wychowanie, niż mogłaby je ona uzyskać w warunkach wiejskich.

Start zawodowy

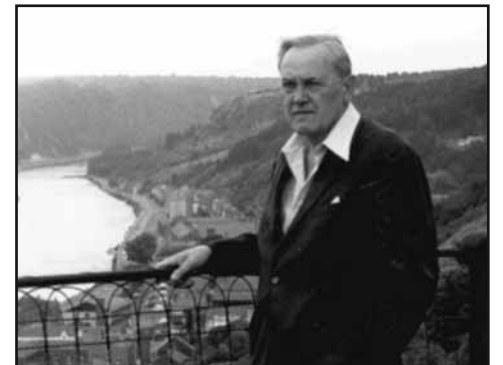
Pracowałem wtedy w Banku Towarzystw Spółdzielczych, przeszedłem przez dyskonto, księgowość, wydział dewizowy. Bank był małą instytucją, dobrze zorganizowaną, nauczyłem się wiele, poznając pracę na różnych szczeblach organizacyjnych i różne osoby w hierarchii zawodowej. Ale z nikim bliżej się nie zapoznałem, dopiero podczas okupacji i później spotkałem kilka osób z dawnego otoczenia.

Pierwszego września 1939 roku zaskoczył nas atak lotniczy na stolicę. Jeszcze tylko kilka dni chodziłem do pracy do banku.

Losy wojenne

Wbrew wszelkim oczekiwaniom wojna toczyła się szybko. Już po kilku dniach zajęta została znaczna część Polski. Ogłoszono przez radio, że mężczyźni zdolni do noszenia broni powinni opuścić Warszawę i udać się na wschód, gdzie będą formowane polskie siły zbrojne. Więc

Dokończenie na str. 2





Grupa uczniów i nauczycieli. W drugim rzędzie stojących, pośrodku P.E. Chadaj.

Zapomniana reduta polskości w czasie okupacji

Dokończenie ze str. 1

Korbianka, Kazimiera Mierzwińska, Wacław Luterkówna, Janina Luterkówna, Mieczysław Kuna, Ryszard Buczek, Jerzy Chmielewski, Janina Dutkiewiczówna, Zofia Koproziakówna, Wacław Łobodziński, Albin Kostrzewski, Lucyna Josikówna, Czesława Ciężka, Irena Siudówna, Natalia Kryskówna, Julian Makuła i Anna Miszczyk. Reprezentacja w szkole bychawiaków (14,2%) miała swoje znaczenie.

Wspomina była nauczycielka Zofia Olszowska-Glazerowa: „Złoty cielec” z hymnu, a więc pieniądź, w myśl spółdzielczych ideałów nie miał być celem i panem. W słowach tej spółdzielczej pieśni czuło się romantyczne uniesienie i swoiste posłannictwo oraz przekonanie, że w nowym świecie pieniądź powinien mieć służebną rolę wobec wyższych społecznych celów i dążeń, do których droga prowadzi przez kooperację. Staraliśmy się więc w młodych kształtować oprócz pracowitości, rzetelności, obowiązkowości, jako cech prawego człowieka, także i inne – przydatne zwłaszcza w przyszłej pracy spółdzielczej: przedsiębiorczość, inicjatywę, zdolność podejmowania decyzji, a wreszcie umiejętność współdziałania, potrzebę współpracy. Ustalony z okupantem oficjalny program nauczania uwzględniał 35 godzin lekcyjnych w tygodniu, w tym m.in. spółdzielczość, organizację i gospodarkę spółdzielni, towaroznawstwo, technikę reklamy, arytmetykę handlową, księgowość i in.

Obowiązkowy, ze zrozumiałych względów, język niemiecki, traktowano w szkole fikcyjnie, de facto jako czas na poszerzenie innej wiedzy, w tym ćwiczenia w sprawności maszynopisania. Dzięki kontaktom z okolicznymi spółdzielniami, sklepami i odbywaniu tu obowiązkowych praktyk uczniowskich oraz prowadzeniu sklepiku szkolnego uczniowie stykali się ze spółdzielczą codziennością i realnością.

Wspomnienia własne

Pawła Edwarda Chadaj*

Dom rodzinny i lata szkolne

Urodziłem się 13.01.1896 roku we wsi Drażgów w biednej rodzinie chłopskiej, z ojca Adama Chadaj i matki Marianny z Szewczyków, właścicieli kilku morgów ziemi w tejże wsi Drażgów. Po przekazaniu ziemi mojej przyrodniej siostrze przenieśliśmy się do sąsiedniej wsi Ułęż na 7-morgowe gospodarstwo, spłacane z trudem przez rodziców przez wiele lat.

W domu nie było drewnianej podłogi, tylko gliniane klepisko, brakowało takich sprzętów jak stół i krzesła. Cała rodzina jadła drewnianymi łyżkami z jednej glinianej miski, stawianej na stołku (...). Podstawę wyżywienia stanowiły ziemniaki z kapuśniakiem lub barszczem, kluski na mleku, kasza i chleb, którego często brakowało na przednówku. A gdy jedyna krowa w okresie zacielenia przestawała dawać mleko, to i bez niego trzeba się było obywać. Prawdziwym rarytasem była odmiana białego chleba ‘pośledniak’, przywożonego przez rodziców z jarmarku w Rykach (...).

* Wspomnienia i fotografie udostępniła Zofia Benedycka z Olsztyna, wnuczka P. Chadaj (profesor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie)

i cywilizacji (...). Samorzutnie bądź przy pomocy z zewnątrz, powstawały tajne organizacje w celu przeciwstawiania się rusyfikacji (...). Spotykaliśmy się potajemnie w okolicznych lasach, by mówić i słuchać o historii, literaturze polskiej, uczyć się języka polskiego; mieliśmy też tajną bibliotekę polską ukrytą w celi klasztornej, otrzymywaliśmy też książki i broszury z Warszawy. W trzecim roku nauki zostałem wybrany przewodniczącym tajnej organizacji szkolnej i jako taki byłem łącznikiem z Warszawą, nawiązaliśmy kontakt z grupą niepodległościowców, poznałem wtedy L. Krzywickiego, S. Sempołowską, Al. Zawadzkiego i in.

Dyrekcja seminarium podejrzewając, że w szkole istnieją tajne organizacje, różnymi sposobami starała się je wykryć: celowo przyjęci do szkoły Rosjanie nas szpiegowali, zabrano stypendium uczniowi piszącemu polskie wiersze, mimo że wyróżniał się zdolnościami. Potrzebną kwotę na opłacenie jego czesnego zebraliśmy więc pomiędzy sobą i wręczyliśmy Stachowi. A ten, żeby dokuczyć zniechędzonego rusyfiikatorowi, rozmiął 75 rb. na same kopiejkę i wysypał je na stół. Uczniom Rosjanom urządziliśmy w internacie „koca” i upozorowaliśmy, że napad na nich był z zewnątrz. Znaleźli się w szpitalu, a do internatu zjechało wojsko i żandarmeria. Trzech uczniów usunięto z seminarium, ale tajna organizacja pomogła im znaleźć miejsce w innej szkole.

Szczególnie uroczyste miało być obchodzone w szkole 300-lecie panowania dynastii Romanowych (1913 r.). postanowiliśmy temu przeszkodzić: do kotła, w którym obgotowywano się mięso na obiadową pieczeń, wrzucono dwa kilogramowe kawałki mydła do prania, a w sali, gdzie odbywał się odczyt ilustrowany obrazami, rozsypano w czterech rogach proszek wywołujący kichanie. Sala zaczęła gremialnie kichać, a z kuchni, zamiast zapachu obiadu rozchodził się zapach pralni. Dyrektor oburzony oznajmił wśród huraganowego kichania: Pragnęliśmy urządzić wspaniały obchód (...) ale między wami znalazł się podlec, co popsuł wszystko. Dlatego (za karę!) nie pokazemy wam naszych carów – bohaterów”. Otworzyły się momentalnie drzwi na korytarz pod naszym naciskiem i z krzykiem: Hura! Do Łobodowskiego na kaszankę! pobiegliśmy do restauracji w mieście. Sprawców nie wykryto.

Dzięki tajnej organizacji nie tylko nadrobiliśmy te przedmioty, których w szkole nie uczono, (...) lecz również nauczyliśmy się pracować samodzielnie, zrozumieć wagę i odpowiedzialność pracy, jakiej się podejmujemy by uczyć później dzieci polskie, cały nasz kurs wyrzekł się picia alkoholu – toasty wznosiliśmy herbatą.

Wykształcenie swoje po zakończeniu seminarium w 1914 r. uzupełniłem na rocznym kursie pedagogicznym i na Wydziale Nauk Społecznych Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie oraz na kursach Centralnego Biura Kursów dla Dorosłych, specjalizowałem się w nauczaniu dorosłych.

cd. w następnej części, w której napiszemy m.in. o losach ukrywającej się w Bychawie rodziny Stanisława Mikołajczyka, wicepremiera, a potem premiera rządu emigracyjnego

Sprostowanie błędów w cz. 1

1. Mieczysław Kuna pracował pod koniec okupacji w sekretariacie gminy w Bychawie a nie w gimnazjum, jak mylnie podano
2. Każde pojawienie się w szkole Niemca wywoływało nastrój (atmosferę) napięcia; ostatnie słowo złośliwy chochlik drukarski przekształcił na „niepacia”.

Przepraszamy

Grupa uczniów i nauczycieli.



Moje życie. Wspomnienia (cz. 3)

Dokończenie ze str. 1

czwartego czy piątego września wyruszyłem na piechotę w stronę Lublina, szedłem wśród tłumy uciekających, który był często ostrzeliwany przez niemieckie samoloty. W Lublinie połączyłem się z moim młodszym bratem Henrykiem, który był w zakonie jezuitów. Dalej poszliśmy razem, najpierw do Bychawy, gdzie u mamy spędziłem kilka dni, Potem dalej na wschód. Nocowaliśmy w mieszkaniach chłopskich, przeszliśmy aż za Chełm Lubelski i doszliśmy do wsi Świerście aż za Bugiem. Stamtąd zaczął się nasz odwrót, bo ze wschodu wracały rzesze polskich żołnierzy rozbrojonych, gdyż na Polskę napadła armia radziecka. Po kilkunastu dniach doszliśmy do Warszawy, zdobytej przez Niemców. Zastaliśmy Hanię i Agnieszkę na Walecznych, w rozbitym mieszkaniu, bez szyb. I tam mieszkaliśmy aż do Powstania Warszawskiego.

Dostałem się do pracy w banku „Społem”, Hania trochę zarabiała szyciem rękawiczek ze skór króliczych i tak przeżywaliśmy okupację. Trudno byłoby ten okres życia opisać, pełen niepokoju, trwogi i zamieszania. Dopiero rozpoczęcie wojny Niemiec ze Związkiem Radzieckim stworzyło realną możliwość zakończenia wojny. Przez podziemną Armię Krajową zostałem wyznaczony na objęcie stanowiska Wojewody Olsztyńskiego, po zakończeniu zwycięskiej wojny. Nawet zostałem zaprzysiężony, korzystałem z materiałów dotyczących Prus Wschodnich, przygotowując się do tej funkcji. Ale komórka AK-owska została przez gestapo zlikwidowana, a potem wydarzenia polityczne potoczyły się inaczej, inne siły polityczne kreowały stosunki po wojnie. Żona w tajemnicy przede mną była członkiem organizacji podziemnej kobiecej. W dniu Powstania Warszawskiego udało się na punkt zbiorczy, ale szybko udało jej się wrócić, a powstanie na Saskiej Kępie i w ogóle na prawobrzeżnej Warszawie, na Pradze, zostało stłumione w ciągu jednej doby.

W Banku Społem stykałem się ze środowiskiem politycznym o nastawieniu lewicowym, na granicy socjalizmu i komunizmu. Dotychczas całe życie, począwszy od Chyrowa, znajdowałem się w obozie prawicowym, o silnym zabarwieniu narodowym, a nawet nacjonalistycznym.

O wybuchu powstania wyszcy byli uprzedzeni, tuż po południu wróciłem do domu 1 września na Saską Kępe; później pewno nie byłoby możliwe przejście przez Most Poniatowskiego na Wisłę. Przez dwa tygodnie nie wolno nam było wychodzić z domu, obserwowaliśmy pożary lewobrzeżnej Warszawy, ataki lotnictwa niemieckiego, odgłosy walki, ulice były strzeżone przez żołnierzy niemieckich.

15. września ogłoszony był rozkaz władzy niemieckiej, że wyszcy mężczyźni będą ewakuowani. Zostaliśmy załadowani, przewożono nas kolejką wąskotorową z dworca na Pradze, ja wyskoczyłem z wagonu i uciekłem w Jabłonnie. Strzelano za nami, ale nie wiem czy ktoś był ranny lub zabity. Tam schroniłem się w mieszkaniu naszego krewnego ze strony żony Antoniego Tyca, który był sędzią w tej miejscowości. Po jakimś czasie przyszła do mnie Hania i Agnieszka, więc trwałymi w tym miasteczku przyfrontowym, w którym odpoczywały oddziały radzieckie ściągane z bliskiego frontu, który zatrzymał się na prawym brzegu Wisły, wydając na łup agresji niemieckiej lewobrzeżną Warszawę.

Stamtąd omijając płonąca Warszawę dotarliśmy do Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie zatrzymaliśmy się u krewnych mojej żony Tyców, a następnie Witoszków. Znaleźliśmy tam lokum wielokrotnie lepsze, niż miały je całe rzesze Polaków wypędzonych z Warszawy. Oparcie też znalazłem w miejscowym oddziale Banku Społem. Po kilku miesiącach nawiązałem kontakt z dyrekcją Banku i przenieśliśmy się do Krakowa. Dla uciekinierów z Warszawy Bank wynajął willę Harenda koło Zakopanego i tam spędziłem kilka miesięcy pod opieką miejscowego oddziału organizacji „Społem”, z którą to instytucją nasz bank był sfiliowany. Tam doczekaliśmy się wypędzenia Niemców i wejścia armii radzieckiej. Potem zostaliśmy przetransportowani do Krakowa, a następnie do Łodzi. Znajdowałem się teraz w instytucji, która liczyła się u nowej władzy. Nasz prezes Banku Społem został wiceministrem resortu finansów.

końcowa część wspomnień w następnym numerze gazety

„Galeria Młodych”

„Po co biegniesz za księżycem w dal na łowy, gdy masz w domu kwiat?” Tak napisała kiedyś Agnieszka Osiecka. Metafora poetki sprawdza się i u nas, w podlubelskiej prowincji. W Bychawie wśród nas są też próbujący tworzyć własną wizję świata i wyrażać siebie – piórem, pędzlem, rylcem, kreską. Czy z aparatem fotograficznym w ręce.

Był taki dzień w grudniu, gdy postanowiliśmy

Ma 19 lat i jest absolwentem Liceum Plastycznego w Lublinie. W „Galerii Młodych” zaprezentował tylko jedną rzeźbę, do której modelem był ojciec, zatem dla niego bardzo cenną.

Opowiadanie pewnego młodego człowieka – Marcina Słowikowskiego przybliżyła publiczności Ilona. Marcin jest autorem dramatów teatralnych, wystawianych przez Teatr Młodzieżowy



ich przedstawić szerszej publiczności. Zdarzył się wieczór w Bychawskim Centrum Kultury, gdy wszystkie miejsca w holu były zajęte. Znalazła się też wymarzona publiczność tj. wspaniałe grono osób, które na co dzień bywa na spektaklach, zwiedza wystawy i czyta książki.

W ten niezwykle wieczór – 15 grudnia – otworzyliśmy Galerię Młodych. Po raz pierwszy Bychawskie Spotkania Regionalne, dziewięć z kolei, przybrały taką nietypową formę – spotkania z młodymi artystami. Powitaliśmy i zaprezentowaliśmy publiczności aż dziesięć osób. Niektórzy z nich opowiedzieli o sobie sami, przygotowując wcześniej własne prezentacje, innych przedstawili organizatorzy.

Autorka wielu wierszy – Maria Wiktoria Wierzchowska, mówi o sobie: „Nie mam talentu muzycznego, moje kreski nie potrafią stworzyć żadnej formy. Mogę się wyrażać jedynie za pomocą słów. Dlatego piszę, próbuję przekazać światu, co zaobserwowałam, jakie to wywołało we mnie emocje a przede wszystkim – siebie. Te wiersze prawdopodobnie nie zawierają wzniosłych wartości, ale są prawdziwe”. Tego wieczoru nikt nie miał wątpliwości, co do tego, że wiersze Marii



Wierzchowskiej były prawdziwe, zwłaszcza, gdy zaprzyjaźniona recytatorka Ilona Fijołek-Mitula, zaprezentowała publiczności kilka z nich.

Zainteresowania Grzegorza Szytyraka to: rysunek, grafika, sztuka ludowa (zdobienie kraszanek), portretowanie, konserwacja starych mebli, modelarstwo. Jego przygoda z rysunkiem rozpoczęła się już w latach przedszkolnych. Potem brał udział w licznych konkursach plastycznych, które pozwalały mu rozwijać się w tym kierunku i dały motywację do dalszej pracy i udoskonalania umiejętności. Teraz pracami dzieli się ze społecznością lokalną. Sam o sobie wypowiada się niechętnie, najlepiej o nim mówią jego rysunki. Część z nich to prace rysowane do naszej gazety, dla Towarzystwa Regionalnego, dla przyjaciół i wyłącznie dla siebie... Grzegorz nie przyznał się do swojej ulubionej i najlepszej pracy.

Tomek Krzpiet to współautor popiersia ks. Antoniego Kwiatkowskiego w parku w Bychawie.

„Odmieniec”, między innymi: „Schizofrenii”, „Seniorzy Mariji”, „Nowych Szat Króla”. Choć nie mógł uczestniczyć w otwarciu „Galerii Młodych”, to jednak na tą okazję przygotował swoje krótkie cv. Fragmenty pozwalają sobie zacytować: Zaczęłam od początku. Gdybym urodził się dwa dni później, miałbym dopiero jakieś pięć i pół roku. Zawsze, kiedy o tym myślę, oddycham z ulgą. W przedszkolu nagminnie rysowałam uśmiechnięte słoneczka, co chyba świadczy o tym, że jestem optymistą. W szkole podstawowej zacząłem się buntować i raz na zawsze skończyłem z konkursami recytatorskimi. Wzbogaciłem się o kilka kilogramów i wsiałem na Rower Błażeja. Szczęśliwie omijając reformę szkolnictwa dojechałem prosto do liceum...”

Nadia Kobylarz to z wykształcenia dekoratorka wnętrz. Uwielbia malarstwo pędzlowe, kocha olej i akryl. Maluje dla innych, rzadziej dla siebie. Lubi, gdy jej prace sprawiają innym przyjemność. Swoje obrazy zaprezentowała już w 2000 roku na wystawie w Bychawskim Domu Kultury. W ten wieczór w „Galerii Młodych” Nadia pokazała nam swoje próby pejzażowe, utrzymane w ciepłych, jasnych barwach.

Obok prac Nadii, na sztalugach znalazło się kilka obrazów innej bychawianki – Moniki Machunik. Monika nie była z nami obecna tego wieczoru. Patrząc na obrazy Moniki, nikt by się nie domyślił, że prócz plastycznych zdolności, posiada także znakomity umysł ścisły. Studiuje na III roku matematyki o specjalności informatycznej UMCS w Lublinie. W tym roku rozpoczęła także drugi kierunek studiów – informatykę z fizyką. Z okazji spotkania przygotowała kilka słów o sobie: malowanie traktuję bardzo ama-



torsko i zajmuję się nim w wolnych chwilach, których ostatnio zresztą coraz mniej... Jedynie w wakacje ujawnia się moja artystyczna dusza. Nie wiem czy komuś spodobały się moje obrazy, nie mam wykształcenia w tym kierunku, ale jestem bardzo wrażliwa na przyrodę. Maluję pod wpływem impulsu, więc mogą być one dla mnie inspiracją. Bardzo przywiązuję się do swoich obrazów, ale czasem uda mi się coś komuś podarować. Z tego względu nie mogę zaprezentować wszystkich moich prac.

Choć Grzegorz Milanowski uważa, że „najpiękniejsze wiersze to zawsze te nienapisane”, to ja w twórczości poetyckiej Grzegorza odnalazłam wiele naprawdę ciekawych tekstów. Niektóre z nich traktują o miłości, wiele o Bogu. Dwa z nich zaprezentowała tego wieczoru Ilona.

Leszek Asyngier Junior to bychawski poeta, kompozytor, bard. W „Galerii Młodych” Leszek sam opowiedział o sobie i swojej twórczości. Trzy wiersze jego autorstwa zaprezentowała również pani Maria Dębowczyk, między innymi znany już z naszych łam utwor „Moje miasto”. Szczególne emocje publiczności wzbudziła także recytacja dykcyjnego wiersza „Burza na Szczodrej” w wykonaniu Leszka. Autora fascynuje tworzywo, jakim jest język polski, o czym mogą się przekonać czytelnicy cyklu „Gimnastyka polskiego języka” w GZB.

Przez cały wieczór dyskretnie wokół nas przemykał się z aparatem fotograficznym Marcin Rugała. To on zatrzymał na zdjęciach czas i utrwalił główne momenty tego wieczoru. Niestety, ze zrozumiałych względów sam nie stał się bohaterem żadnej z fotografii. Marcin jest studentem Wydziału Artystycznego UMCS w Lublinie. Fotografiją zajmuje się od ponad trzech lat. Swoje prace prezentował w m.in. w Galerii Bezdonna w Lublinie, Galerii Pomost DDK S.M. „Czechów”, Bibliotece Głównej KUL, Wojewódzkim Centrum Kultury w Lublinie i innych miejscach. W „Galerii Młodych” zaprezentował kilka swoich projektów. O swoim fotografowaniu mówi: Rzeczywistość, którą przedstawiam w swoich fotograficznych obrazach jest ciągłym poszukiwaniem „zasady świata”. Motywem jest tu zawsze brak odpowiedzi. Tak więc moje prace nie stwierdzają, lecz pytają, poszukują i odnajdują lub nie.

Kulminacyjnym punktem tegorocznych Spotkań Regionalnych okazało się zwiedzanie największej w „Galerii Młodych” wystawy rzeźb i malarstwa Andrzeja Kułaka z Bychawy. Andrzej jest Absolwentem Wydziału Artystycznego UMCS. Pracę dyplomową wykonał w pracowni rzeźby prof. A. Mieleczko w 1996 roku. Szczególnie bliska jest mu rzeźba i malarstwo. Ponadto lubi wędkować, wolne chwile poświęca na projektowanie i własnoręczne wytwarzanie woblerów.

W „Galerii Młodych” w zaledwie jeden wieczór dziesięciu młodych ludzi miało okazję zaprezentowania swojej twórczości i siebie. Wszyscy zrobili to w różny sposób. To był ich wieczór. Obecna publiczność, mogła poznać ich lepiej w dalszej części spotkania, która miała miejsce już w Kawiarni Artystycznej „Złota Lira”. Czas przy smacznym poczęstunku uprzyjemnił swoim koncertem zespół Phi Project z Bychawy. Za obecność wszystkim – młodym twórcom i gościom – w imieniu organizatorów serdecznie dziękuję!

Monika Glazik
fot. M. Rugała



List z Izraela, którego autorką jest pani Dorit Zamir, drukujemy w całości, bez jakichkolwiek zmian, spełniając prośbę o podanie jego treści do wiadomości publicznej.

Bychawa – miasteczko moich rodziców

Nazywam się Dorot Zamir z domu Mandelbojm. Mieszkam w Izraelu, w mieście Kfar-Sara. Urodziłam się w Buenos Aires w 1940 r. Moi rodzice, wychodźcy z Bychawy, przybyli do Argentyny w roku 1927. Od wczesnego dzieciństwa słyszałam od nich wiele opowieści o Bychawie. W przeciągu 66-ciu lat Bychawa tkwiła w mojej wyobraźni, wydawało mi się, że ja również przechadzam się po miasteczku, podziwiam piękno przyrody i wdycham świeże, zdrowe powietrze.

Moja matka Neche urodziła się w Bychawie w 1904 r., a ojciec Fajwel w 1905. Tak się złożyło, że ich rodziny mieszkały w tym samym domu, w związku z czym rodzice wyrosli razem i od początku zawarli przyjacielskie stosunki. Przyjaźń przekształcała się w miłość, a później w małżeństwo, które zawarli w Argentynie.

List z Izraela

Dom był dwupiętrowy, znajdował się przy parku miejskim, naprzeciw rynku. Ciekawą postacią w mojej rodzinie był dziadek (ojciec ojca) Nechemia Mandelbojm. Dziadek Nechemia cieszył się dużym poważaniem w miasteczku, dzięki jego szerokiej wiedzy oraz stanowisku głównego nauczyciela w żydowskiej szkole. Jednym z jego uczniów był Symcha Erlich, który po wyjeździe do Izraela pełnił w latach osiemdziesiątych funkcję ministra skarbu w rządzie izraelskim.

W pracy pedagogicznej w szkole pomagał dziadkowi mój ojciec Fajwel. Ojciec był człowiekiem bardzo twórczym w dziedzinie muzyki, miał również zdolności literackie. Od niego nauczyłam się kilku piosenek w języku polskim. Ojciec był bardzo przystojnym mężczyzną i cieszył się dużym powodzeniem wśród kobiet.

Moja matka Neche pochodziła z prostej kupieckiej rodziny. Była ładną kobietą posiadającą mądrość życiową i dobre serce. Niestety, nie miała żadnego wykształcenia, nie potrafiła pisać i czytać. W wieku 20 lat udała się do Lublina, aby pracować jako pomoc domowa u zamożnej rodziny. Tam przebywała aż do wyjazdu do Argentyny.

W 1925 roku zmarł dziadek Nechemia z powodu ciężkiej gruźlicy, epidemia której panowała w tamtym okresie. Miał wszystkiego 35 lat.

Sytuacja ekonomiczna obu rodzin stawała się coraz trudniejsza. Niedługo po śmierci dziadka Nechemii ojciec mojej matki postanowił wyjechać do Argentyny, aby w nowym mieście próbować zbudować lepszą bazę do życia. Zaczął tam od pracy jako handlarz w branży skórzannej, robił i sprzedawał walizki, torby. Z czasem zaczęło mu się dobrze powodzić i namówił resztę rodziny na przyjazd do Argentyny. Dlatego rodzina mojego ojca opuściła Bychawę i udała się do Argentyny.

Wszyscy trzymali się razem i nawzajem sobie pomagali. Sytuacja finansowa zaczęła się poprawiać, ale pamięć o Bychawie pozostała w ich sercach na zawsze. Zarówno oni, jak i inni wychodźcy z Bychawy podtrzymywali ze sobą stałe kontakty. Razem snuli wspomnienia z rodzinnego miasteczka, razem obchodzili święta rodzinne i religijne. Silna potrzeba zachowania wspólnej tożsamości w nowym kraju wpłynęła na utworzenie „Związku Wychodźców z Bychawy”. Taki

związek powstał również w Izraelu. Również tutaj imigranci z Bychawy pragnęli pielęgnować pamięć o przeżyciach z młodości, spędzonej w małym miasteczku w Polsce.

Wiele wiadomości o Bychawie zdobyłam czytając „Księgę pamięci” napisaną przez wychodźców z Bychawy, którzy rozjechali się po całym świecie – Izrael, Stany Zjednoczone, Francja itd. Księga ta, wydana w Izraelu w 1969 r. przedstawia ważny dokument historyczny. Zawiera ona zarówno osobiste wspomnienia wielu byłych mieszkańców Bychawy, ich zdjęcia jak i ciekawe materiały dotyczące rozwoju miasta.

W 2006 roku udało mi się zrealizować moje wieloletnie marzenie – odwiedzić Bychawę. Wizyta ta dostarczyła mi wielu wzruszeń. Przede wszystkim poznałam niezwykłego człowieka – panią Marię Walczak. Pani Maria wykazała wiele zrozumienia dla moich uczuć i dołożyła starań, aby pomóc mi odnaleźć miejsce zamieszkania moich rodziców. Jestem jej głęboko wdzięczna za serdeczny stosunek i bardzo pragnę, aby nam się udało kontynuować przyjacielską więź również na odległość.

Z okazji nadejścia Nowego Roku 2007 składam najlepsze życzenia zdrowia i pomyślności wszystkim mieszkańcom Bychawy. Moje serce jest z wami.

Dorit Zamir

Bychawa

